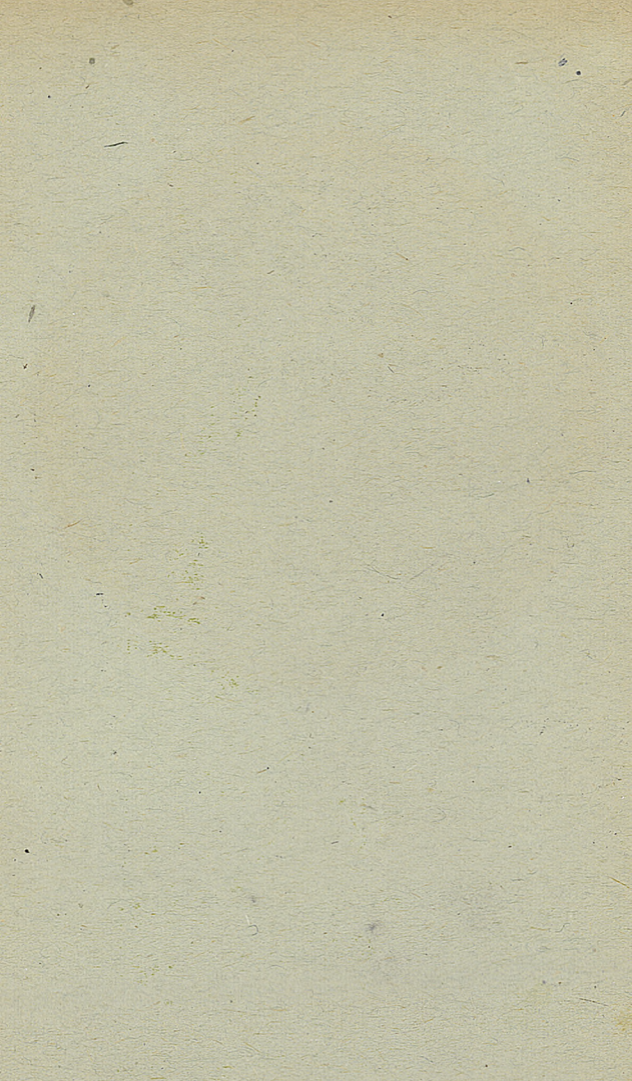




# CZARNY PIOTR

BARDZO CIEKAWA PO-  
WIEŚĆ KRYMINALNA.





# CZARNY PIOTR





niniejszą książką  
wzbogacił zbiory Uniwersytetu Jagiellońskiego  
Szymon Stanisław Deptuła  
emigrant z Polski



CONAN DOYLE.

# CZARNY PIOTR

**BARDZO CIEKAWA PO-  
WIE KRYMINALNA.**



Biblioteka Jagiellońska



1002658085

1911

385



B 779 824

Nie widziałem nigdy Sherlocka Holmesa w takiej pełni sił umysłowych i fizycznych, w takim rozkwicie, jak gdy przypatrywałem mu się w r. 1895. Sława jego wzrastała z dnia na dzień, a za nią szła olbrzymia, cięgle wzrastająca praktyka.

Naraziłbym się na słuszny zarzut niedyskrecyi, gdybym wymienił, lub choćby tylko pozwolił się domyślać nazwisk klientów, którzy przestępowali skromne progi naszego mieszkania przy ulicy Baker. Mimo tego powodzenia Holmes był, jak każdy wielki artysta, wyjątkowo dla swej sztuki. W dwóch tylko wypadkach, o ile wiem, można było mówić o wynagrodzeniu. Jednym z nich było znane poszukiwanie syna księcia Holdernesse. Cena nie stała zresztą nigdy w stosunku do nieopłacanych usług, które Holmes oddawał swojej wiedzy i sprytem.

Zresztą, nawet w przyjmowaniu propozycji kierowała Holmesem artystyczna wybredność. —• Nieraz odmawiał pomocy ludziom młodym i bogatym, jeżeli kwasy, o których szło, nie wydawała mu się interesująca, a przypadek sam w sobie mógł być rozwinięty, przez zwykłego agenta policyjnego. Nieraz znowu tygodnie całe poświęcał bezinteresownie sprawom ludzi biednych, jeżeli trafił na godne siebie i prawdziwie ciekawe zadanie i jeżeli dramatyczne okoliczności sprawy



apelowały do jego czynnej wyobraźni i wyzywały bystro .

W pamiętnym tym roku 1895 różne ciekawe historie zajmowały bezustannie barwnym kalejdoskopem życie i pracę Sherlocka, począwszy od słynnego ledztwa z powodu nagłej śmierci kardynała Tosca, a do aresztowania Wilsona, hodowcy kanarków, aresztowania, które, oczywiście dzielnic East end w Londynie odhaczała plama. Po dwóch tych słynnych wypadkach nastąpiła zaraz tragedia z Woodmanns Lee, bardzo zawiślana historia, tocząca się śmierci kapitana Piotra Careya, oraz towarzyszących jego zgonowi bardzo dziwnych okoliczności. To, co opowiadałem dotychczas o Holmesie, nie byłoby wiernym obrazem jego działalności, gdybym pominiął ten wysoce ciekawy i charakterystyczny epizod.

W pierwszych dniach lipca, Holmes tak mało bywał w domu, że wiedziałem zaraz, iż ma jak spraw napiętą. Od czasu do czasu pojawiali się też w naszym mieszkaniu jacyś obdarci ludzie, zapytujący nas razem o kapitana Bazila. To znów wiadomości, że Holmes działa w przebraniu, jak to często czynił, aby ukryć swą dobrze znaną i nieraz budzącą postrach powierzchowność. W różnych stronach Londynu miał on najmniej pięć małych pokojków, gdzie mógł się spokojnie zamieniać w innego człowieka. Nie mówił mi nic zresztą, co czyni, a ja znów nie miałem żadnej przyczyny domagać się wy-

ja nie przed czasem, wiedz c, e gdy nadejdzie pora, sam mi ich udzieli.

Tym razem jednak w szczególny sposób dał mi pierwsz wskazówk co do kierunku, w jakim obecnie działa. Pewnego dnia wyszedł wczynie, jeszcze przed niadaniem, a wrócił wła nie w chwili, gdy ja, ubrawszy si, zasiadłem do stołu. — Wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie, trzymaj c pod pach, nakształt parasola, potny kij z o cieniem na ko cu.

— Na miło bosk —• zawołałem — przecie nie chodziło chyba po mie cie z tym instrumentem pod pach ?

— Byłem u rze nika i teraz wracam.

— U rze nika?

— Je dziłem tam.

— O tej porze ?

— Tak jest i mam doskonały apetyt. Nie ma kwestyi, mój drogi, e ruch przed niadaniem wybornie działa na apetyt, zwłaszcza za wiczenia fizyczne. Zało si jednak, e nie zgadniesz jakiego rodzaju jest gimnastyka, któr wła nie uprawiam.

— Nawet nie próbuj odgadn, bo wiem, e pró ne wysiłki.

Holmes miał si po cichu, patrz c równoczenie, jak nalewam kaw do fili anki.

—• Gdyby był mógł zajrze do magazynu, który przytyka do sklepu Aflardyce'a, zobaczyłby tam ciekawe widowisko: na haku wisi do powały wielka winia, zar ni ta lege artis»

a przed ni człowiek, który ga j tym instru-  
mentem z w ciekło ci i zapalem. Energicznym  
tym osobnikiem byłem ja sam i udało mi si prze-  
kona , e cho bym wyt ył wszystkie siły, to  
jeszcze nie mog całej wini przebi na wylot od  
jednego zamachu. A mo eby ty spróbował ?

•—• Dzi kuj . Ale diaczego urz dziłe takie  
próby ?

— Bo zdawało mi si , e rzecz ta ma pewien  
zwi zek z, tragedya w Wbodmans Lee.

Kto zapukał i drzwi si otworzyły.

— Witam pana, panie Hopkins. Otrzymałem  
depesz pa sk tej nocy i czekałem na pana.  
Chod e pan i si d z nami tutaj do stołu.

Człowiek, który wchodził wła nie, był młody,  
lat mo e trzydziestu. Na sobie miał lekkie ubra-  
nie letnie, lecz trzymał si prosto iz pewn sztyw-  
no ci , która wskazywała raczej na przyzwy-  
czajenie db chodzenia w mundurze. Poznałem za-  
raz, e widziałem ju t twarz. Był to Stanley  
Hopkins, młody agent policyjny, o którego zdol-  
no ciach Holmes miał wielkie wyobra enie. Stan-  
ley odpłacał mu za to podziwem i szacunkiem  
takim, jak mo e mie chyba ucze dla znakomi-  
tego nauczyciela.

- Zaraz mo na było spostrzedz, e Hopkins jest  
nie w humorze. Usiadł przy stole z min bardzo  
niezadowolon .

— Mo e pan co przek si ?

— Dzi kuj . Zjadłem-ju niadanie»



Noc sp dziłem w mie cie, bo przybyłem wczoraj, aby zda raport.

— A o czym pan donosił ?

— O tem, e mi si nie powiodło. Zupełnie nie powiodło tym razem.

— Wi c najmniejszego post pu?

— adnego. Ani na jot .

—O, do licha! Chciałbym rzuci okiem na t kwesty .

— Dałby Bóg, aby tak si stało. To pierwsza sprawa, w której mog st' odznaczy , a niestety znalazłem si u kresu mej m dro ci bardzo szybko. Gdyby pan był tak łaskaw poda mi r k .....

— Ale dobrze, dobrze. Jak to doskonale si składa, e czytałem ju wszystkie doniesienia o całej kwestyi, a do protokołu obdukcji zwłok. Czytałem nawet do uwa nie. Ale, ale, có pan my li pocz z tym kapciuchem, który znalezione na miejscu zbrodni? Podobno to pan sam go znalazł ? Czy z tego nie da si nic wywnioskowa ?

Hopkins spojrział na Sherlocka nie bez zdziwienia i odDowiedział:

— To był'jego własny kapciuch, z jego monogramem\_ na wierzchu. Przytem zrobiony był ze skóry psa morskiego, a on sam był marynarzem i polował na psy morskie.

— Ale fajki nie miał przy sobie. x

— Tak jest, nie miał, lecz podobno palił bardzo mało, a tytu mógł nosi raczej dla przyjaciół, ani eli dla własnego u ytku.

— Bezw tpienia. Wspominam tylko o tym szczególe, bo gdybym to ja prowadził dochodzenia, u yłbym go za punkt wyj cia. Ale tak, czy tak, mój przyjaciel Dr. Watson, nic nie zna tej całej historii, a nie zaszkodziłoby tak e i mnie, gdybym posłuchał jej raz jeszcze. Przyda si takie krótkie zebranie wypadków. Niech je pan nam naszkicuje.

Hopkins wyci gn ł z kieszeni skrawek papieru.

— Mam tu par lat, które razem tworzą zarys kariery yciowej Piotra Careya, kapitana okrętowego, zabitego przez nieznaną sprawców, czy sprawc . Urodził si on w r. 1845, miał zatem lat 50. Był to człowiek bardzo miały, wyborny kierownik wszelkich połowów na wieloryby i foki. W r. 1883 komenderował statkiem "Narwal" z Dundee. Potem zaraz udało mu si zrobić kilka wietnych połowów i ju w następnym roku mógł si usun od interesu. Podróżował wiele, potem kupił niewielk posiadłość, zwan Woodmans Lee, niedaleko Forest Row, w Sussex. Tam mieszkał przez lat sze i tam te przed tygodniem włania, zmarł nagł śmierci

Hopkins napił si wody.

— Był to człowiek ciekawy, troch dziwak; zwyczajnie odznaczał si purytańsk wstrzemi-

liwo ci , był surowy, milcz cy i ponury. W do-  
mu miał on , dwudziestoletni córka i dwoje  
słu by kobiecej. Słu b ci gle zmieniał, gdy pra-  
ca u niego nie nale ała do najmiłszych i mało kto  
mógł wytrzyma dłu ej. Carey miewał bowiem  
okresy pija stwa, a gdy si upił, stawał si czło-  
wiekiem nie do zniesienia. Wiadomo, e wyp dzał  
nieraz o północy czy nad samem ranem on albo  
córka z domu i gonił je po parku batem, tak, e  
krzyki ich dochodziły a do s siadów. Budzili si  
i słuchali, co to za awantura. Raz stawał przed  
s dem za napad na starego ksi dza, który go  
odwiedzał i przy tej sposobno ci czynił mu ró ne  
słuszne uwagi. Słowem daleko trzebaby szuka  
za przykrzejszym i niebezpieczniejszym człowie-  
kiem jak Carey. Słyszałem, e t sław cieszył  
si ju , gdy dowodził okr tem. Znano go w całej  
marynarce jako “czarnego Piotra.” Nazwano go  
tak nietylko dla czarnych włosów i oliwkowej,  
prawie brunatnej, cery, lecz dzi ki przymiotom  
charakteru, które czyniły ze postrach całego  
otoczenia. Nie potrzebuj dodawa , e s siedzi  
go nie lubili i nie słyszałem, aby kto wyraził al  
z powodu strasznej mierci, jaka go spotkała.

— A miejscowo , gdzie dokonano zbrodni?

— W protokole obdukcji rnusiał pan czyta ,  
e Carey miał swój “kabin .” Tak jest, kabin .  
Tak nazwał sobie drewniany domek, zbudowany  
obok folwarku, o kilkaset kroków od Wła ciwe-  
go domu mieszkalnego i tam sypiał co nocy. Była  
to mała chałupka o jednym pokoju. Dłu sza



ciana miała szesnaście stóp, krótsza dziesięć długości. Klucz nosił zawsze w kieszeni, sam słał łóko, sam porządkował i sprzątał i nie pozwalał nikomu wejść za próg. Po obu stronach domu były małe okienka, zawsze zawieszane firankami i nigdy nie otwierane. Jedno z nich wychodziło na gościniec. Gdy w nocy zapalał światło, ludzie przechodzący pokazywali je sobie nawzajem dziwiąc się, co czarny Piotr tam robi? Muszę dodać, że dzięki temu oknu posiadamy główny poszlak, wprowadzić bardzo słaby, ale zawsze jak poszlak.

— A mianowicie?

— Przypomina pan sobie, że wiadomo, że dwa dni przed morderstwem przechodził drogą pewien kamieniarz z okolicy, nazwiskiem Slater. Otóż on opowiada, że idąc z Forest Row zatrzymał się, gdy uwagę jego zwróciło światło błyszczące wśród gałęzi. Zatrzymawszy się, zobaczył na tle okna cię głowę młodej. Wyraźnie widział brodę, ale była to inna broda niż ta, którą nosił Carey. Zresztą znał Careya dobrze. Tak przynajmniej mówił. Ale nie trzeba zapominać, że Slater spędził poprzednie dwie godziny w szynku, a z gościnną do okna wcale nie tak blisko. Zresztą to, co on opowiada, miało miejsce w poniedziałek, a morderstwo spełniono we wtorek.

— No... to jeszcze rzecz inna.«

— Koniec końców we wtorek Piotr Carey był w jak najgorszym usposobieniu, .PU P **tyle**,

cały czerwony jak upiór, a szalał, jak dzikie zwierz. Grasował po całym domu. Pó nym wieczorem dopiero wszyscy odetchn li, gdy zabrał si do swej kabiny. Mniej wi cej o drugiej po północy, córka jego, która spała przy otwartem oknie, usłyszała straszliwy krzyk, dochodzący od strony kabiny. Ale nie była to dla niej rzecz niezwykła, bo Piotr bardzo cz sto krzyczał i wył nieludzkim głosem, gdy go oszołomiła wódka. Nie zwa ano te na to.

—Z rana, około siódmej, jedna ze słuch, która wstała wczynie, zauważyła, że drzwi od kabiny są otwarte. Careya jednak tak się bała, że do południa nikt się nie odważył pójść do niego. Nareszcie zebrano się na odwagę. Zagłębnił się przez uchylone drzwi i ujrzało co, co odpodziło wszystkim obecnych w dzikim popłochu do miasteczka. W godzin byłem na miejscu i zajęłem się sprawami.

Hopkins przestał na chwilę. Zbierał myśli i nareszcie zaczął:

— Wie pan chyba, że mam silne nerwy. A jednak daj panu słowo, że zimny dreszcz przebiegł mnie od stóp do głów, gdy zajrzałem do chaty. Muchy brzęczały jak w ulu, a podłoga i ściany wyglądały jak w ruinie. Carey nazywał tę chatę zawsze kabiną w istocie urządzenie było zupełnie takie, jak w kabinie. Możliwe było sędzi, że się jest na okręcie. Hamak, mapy morskie, fotografia "Narwala," księgi okrętowe na

półce, wszystko tak urz dzone, jak zwykle bywa w kapita skiej kabinie.

Na rodku le ał on sam. Twarz miał wykrzywion w m ce miertelnej, a wielka szpakowata broda sterczała do góry. Przez sam rodek piersi był przebity ogromnym harpunem, który wyszedł przez plecy i wbił si gł boko w cian. Przybito go jak chrz szcza na kartonie. Naturalnie nie ył. Znam pa sk metod , panie Holmes i zastosowałem j odrazu. Zanim pozwoliłem, aby cokolwiek ruszono, zbadałem jak najdokładniej cały grunt zewn trz chaty i podłog wewn trz pokoju. Nie było adnych ladów.

— To znaczy, e pan nie spostrzegł e adnych ladów. Czy nie tak ?

— Zapewniam pana, e nie było adnych ladów.

— Kochany panie! Badałem ju nie j dno przest pstwo, lecz nie natrafiłem jeszcze na takie, które byłoby spełnione przez jak lataj c istot . Dopóki zbrodniarz chodzi, jak inni ludzie, na nogach, dopóty<sup>7</sup> musi zosta po nim jakie wgł bienie, zdrapanie ziemi, jaka male ka zmiana, któr mo na odkry przy naukowem badaniu. Niepodobna przypu ci , aby tam, w tym krwi obryzganym pokoju, nie było adnego ladu, któryby nam dał jaki punkt oparcia.

Holmes wpatrywał si chwil ironicznie w inspektora, a potem zako czył pytaniem:

— Zatem, jak wiem ju , było w pokoju par



sprz tów, które udało si panu ómin przy ba-  
daniu? Hopkins drgn ł, ukłuty bole nie i za-  
wołał :

— Ach, jakim e byłem głupcem, nie prosz c  
pana zaraz o pomoc! Ale teraz pró ne ale. Tak  
jest, w pokoju było wiele przedmiotów, które  
zwracały odrazu uwag . Przedewszystkiem har-  
pun, którym dokonano zbrodni. Zerwano go ze  
ciany, gdzie był przytwierdzony na desce. Dwa  
inne, równie tam umieszczone, pozostały na  
swoich miejscach. Na harpunie był napis: Nar-  
wal, Dundee. Z tego mo naby wnioskowa , e  
morderstwa dokonano w przyst pie gniewu,  
bo morderca chwycił za pierwsz lepsz bro ,  
jaka mu si nasun ła pod r k . Nadto wiemy, e  
zbrodnia była spełnion o drugiej po północy,  
a Piotr Carey był zupełnie ubrany. Wynika  
st d, e ów człowiek, który zamordował Careya,  
był przeze zamówiony na schadzk . Potwier-  
dza to przypuszczenie znaleziona na stole fla-  
szka rumu i dwa brudne kieliszki.

— Na to zgoda. Oba wnioski s prawdopodob-  
ne. A czy nie było w pokoju jakiego innego na-  
czynia z napojem spirytusowym?

— Tak jest. Było. Na skrzyni stał kubek  
podwójny, tak zwany magiczny, zawierał za  
brandy i whiskey. To jednak nie na wiele si  
przyda i nic prawdopodobnie nie znaczy, bo  
zawarto była nienaruszona.

— Zawsze jednak dobrze- o tem wiedzie —  
rzekł Holmes. — A teraz niech nam pan co po-

wie o przedmiotach, które, zdaniem pa skiem, maj wi ksze znaczenie dla sprawy.

— Przedewszystkiem ten kapciuch na stole.

— Gdzie?

— Na samym rodku. Kapciuch ze skóry psa morskiego ze sznurem do ci gania. We rodku na klapie inicjały P. C. We rodku pół uncyi mocnego tytoniu, jaki zwykle pal marynarze.

— Doskonale. I có jeszcze?

Hopkins wyci gn ł z kieszeni notatk oprawn w szare okładki. Zewn trzna strona była bardzo zniszczona przez u ywanie. Na pierwszej stronie były napisane litery J. H. N. i data 1883.

Holmes poło ył notes przed sob na stole i zbadał go ze zwykł drobiazgowo ci Hopkins i ja przypatrywali my si tej pracy z za pleców Sherlocka.

Na drugiej stronie były drukowane litery C. P. R., a kilka nast pnych kartek było zapelnionych cyframi. Dalej kartka z napisem "Argentyna," dalej "Costarica," trzecia "San Paolo." Po ka dej szły kartki z cyframi i znakami.

Holmes sko czył ogl da i zwrócił si ku nam.

— Jak pan s dzisz, co to jest? — spytał Hopkinsa, mierz c go bystrem spojrzeniem.

— Zdaje si , e to spis papierów giełdowych.

Przypuszczam, że I. H. N. s inicyałami agenta, za C. P. R., to był zapewne jego klient.

— Spróbujno pan podło y pod to słowo “Canadian Pacific Railway” — rzekł Holmes.

Hopkins zakł ł po cichu i trzasn ł si kułakiem po udzie.

— Ach, có to za osioł był ze mnie! Naturalnie, że to tak, jak pan mówi! Ale w takim razie pozostaje nam tylko odcyfrowa inicyały J. H. N. Kazałem ju sobie przynie stare rejestry giełdowe i badałem je cał noc, lecz w roku 1883 nie mogłem odkry agenta giełdowego, o nazwisku takim, aby inicyały z niem si zgodziły. A jednak czuj dobrze, jak wa nem byłoby to odkrycie. Przyzna pan, panie Holmes, że inicyały te oznaczaj w ka dym razie nazwisko tego drugiego człowieka, czyli innemi słowy, dadz nam nazwisko zbrodniarza. A jeszcze zwróci trzeba uwag, że odkrycie dokumentu, który odnosi si do takiej masy papierów warto cio wych mo e nam da wa ne wskazówki co do pobudek mordu.

— Musz si zgodzi z panem na obu punktach — rzekł Sherlock Holmes. — Przyznaj, że ten notatnik, który wydawał mi si nieznacz cym punktem zaczepienia, dopóki go znałem tylko z opisu w protokole, obecnie przedstawia si zupełnie inaczej i zmodyfikował bardzo teory, jak sobie wyrobiłem o morderstwie. Niema mo wy, aby sprawa mogła mie tak podstaw, jak my lałem. Czy nie starał si pan doj, jakie tu-



taj zanotowano papiery? Przynajmniej niektóre?

— Zarz dziłem poszukiwania w bankach, ale zdaje mi si teraz, e to b dzie spis akcyonaryuszów tej kolei i e minie par tygodni, nim b - dziemy mogli pój tym ladem. Nim przyjd wiadomo ci z Ameryki....

Holmes wydobył lup i zacz ł ni bada okładk notesu.

— Tutaj co jest. Okładka ma dziwny kolor. Co to?

To krew. Zapomniałem panu powiedzie , e podniosłem ten zeszyt z ziemi.

— Po której stronie była plama ?

•— Po tej, któr notes upadł na ziemi .

— Zatem wynikałoby st d, e notes upadł na ziemi ju po dokonaniu morderstwa.

— Zapewne. Brałem to w rachub i przypuszczałem, e wypadł mordercy podczas szybkiej ucieczki. Le ał zaraz przy drzwiach.

— Przy zmarłym i w chałupie nie znaleziono adnych papierów warto ciowych?

— Nie.

— Au niego w domu niema nic?

— O ile wiem, nic.

— Czy ma pan jakie podstawy do przypuszczania, e mamy tu do czynienia z morderstwem dla rabunku?

— Nie. Zdaje mi si , e sprawca nie tkn ł niczego.

— A jednak mówił pan inaczej, zwracając uwagę na notes. W każdym razie przypadek to interesujący. A jeszcze był tam scyzoryk. Prawda?

• — Nie scyzoryk, lecz nóż w pochwie. Leżał u stóp trupa. Pani Carey oświadczyła, że taki nóż miał jej mąż.

Holmes zamysł sobie głębiej.

— Dobrze. Teraz musisz udać się tam i rzucić okiem na wszystko.

Hopkins nie posiadał się z radości.

— Dziękuję panu! — zawołał — Kamień mi spada z serca!

Holmes pogroził mu palcem i rzekł: <sup>1</sup>

— Tydzień temu, inaczej zabierałbym się do tej sprawy! Łatwiejby mi było o wiele. Ale może i teraz na coś przydam. — Mój drogi — zwrócił się do mnie — gdyby miał chwilę czasu, to byśmy poszli razem. Dobrze? Bardzoby się przydało twoje towarzystwo. Możeby pan był taki łaskaw, zawoła do róska, panie Hopkins. Za kwadrans bierzemy gotowi do drogi. Pojedziemy do Forest Row.

Wysiedliśmy na małej stacyjce i pojechaliśmy koło nas parę kilometrów przez duży las, szczyt ogromnej puszczy, która długo trzymała w szachu saksońskich najezdników, przez ów nigdy nieprzenikniony "Weald," lat sześćdziesiąt z gór muru ochronny Brytanii. Olbrzymie przestrzenie tego boru padły pod siekier,

tu bowiem były największe huty elaza i drzewo posłużyło na opał, aby topić kruszec. Z biegiem lat zwrócono się do bogatszych min, na północ, i nic już nie wskazuje na niszczenie i tworzenie prac ręki ludzkiej, jak tylko łysiny wyrwanej puszczy i ziemia porożona kilofem.

Tutaj to, na jednej z polanek z trzech stron otoczony krzakami stał mały, niski dom kamienny, do którego prowadziła droga, zakręcająca się łukiem przez pola. Bliżej go, równie otoczony zarostami, stał mały domek drewniany, z jednym oknem i drzwiami zwróconymi w kierunku, skąd przybywali my właśnie. Domek ten był terenem morderstwa.

Nasamprzód zaprowadził nas Hopkins do kamiennego domu i przedstawił chudej, siwej kobiecie. Była to wdowa po Careyu. Wychudłe, pomarszczone oblicze, wzrok przywykły do wyrażania strachu, oczy zapadłe i obramowane czerwono wiadczyły o całych latach męki i udręczenia, jakie przeszła ta kobieta przy boku męża. Zjawiała się zaraz córka, blada dziewczyna o blond włosach, która z dziwnym wyrazem w niebieskich oczach opowiadała nam, jak się cieszy, że ojca już nie ma i jak błogosławi rękę, która go usunęła z tego świata.

Straszny to był dom i straszna rodzina. Odetchnęliśmy tylko, gdy znaleźliśmy się znowu na powietrzu, w wietle słonecznym, kierując się po wskazaniach do kabiny. Ciężej wyłubił sam Carey



chodzą przez tyle-dat codziennie do swej kabiny.

Kabina, był to domek. drewniany pokryty łupkiem, z jednym oknem przy drzwiach i drugim po przeciwnej stronie. Hopkins wyjął z kieszeni klucz i pochylił się, aby otworzyć, lecz nagle zatrzymał się. Na twarzy jego odmalowało się zdziwienie.

— Kto tu majstrował — rzekł powoli.

Nie można było temu przeczyć. Drzewo było w paru miejscach zdrapane, a szramy te przebiegały przez nalepki tak wiecie, jak gdyby je dopiero zrobiono.

Holmes zbadał zaraz okno.

— I tutaj ktoś próbował dostać się do rodka, Ale nie udało mu się dopić celu, Lichy to rzucałby włamywacz, skoro cofnął się przed takim zadaniem.

Hopkins oglądał jeszcze drzwi.

— A to rzecz ciekawa! Przysięgam, że wczoraj wieczorem nie było tych ladów na drzwiach, ani na oknie.

— Zapewne ktoś ciekawy ze wsi albo z miasteczka! — pozwoliłem sobie wtrącić.

— To bardzo nieprawdopodobne.

• — Dlaczego? ciekawo ludzka!

— Mało kto odważyłby się stanąć na tym gruncie. A jeszcze próbować dostać się do tej chaty! Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

— Przedewszystkiem sądzi, że mamy prawdziwe szczyty!

— Jakto, wi c my li pan, e zbrodniarz przyszedł na miejsce czynu?

— Tak mi si zdaje. I to bardzo prawdopodobne. Przyszedł, w nadziei, e zostanie drzwi otwarte. Próbował dosta si do rodka, otwieraj c drzwi za pomoc bardzo ostrego scyzoryka. Ale to mu si udało. Jak pan s dzisz, co teraz uczyni ?

Hopkins nie namy lał si ani chwili, lecz odpowiedział :

— Wróci tej nocy z lepszymi narz dziami.

— Tak i ja my l i leby było, gdyby my nie czekali tutaj, aby go przyj odpowiednio.—  
• A teraz zobaczymy przedewszystkiem, jak tam wygl da w rodku.

Z wn trza kabiny usuni to lady tragedyi, lecz wszystkie meble stały jeszcze w pokoiku, tak, jak przed zbrodni . Dwie godziny badał Holmes chat ze zwykł pedantyczn dokładności skupiaj c si przy ogl daniu ka dego najdrobniejszego przedmiotu. Ale z twarzy jego wyczytałem, e badanie nie odniosło pomy lnych skutków. — Raz tylko zatrzymał si w ród poszukiwa , aby zapyta Hopkinsa:

— Czy pan co ruszał z tej półki ?

•— Nie, nic nie brałem.

—• A jednak czego brakuje. W tym k cie półki jest mniej pyłu, ni wsz dzie indziej. Tu le ała mo e jaka ksi ka, albo inny jaki przedmiot podobnego kształtu, np. szkatułka. No, na

razie nic wi cej si nie dowiem. Teraz pójdzie-  
my sobie na spacer do lasu, mój drogi — rzeki  
zwracaj c si do mnie — i po wi cimy par go-  
dzin kwiatom i ptaszkom. Pó niej spotkamy si  
tutaj z panem Hopkinsem. Wtedy si poka e,  
czy mamy si zej tutaj z owym gentlemanem,  
który zło y temu domkowi nocn wizyt .

\* \* \*

V

W chwili, gdy układali my nasz zasadzk ,  
była godzina jedenasta. Hopkins radził, aby  
drzwi do chaty pozostawi otwarte, lecz Holmes  
zwrócił słusznie uwag , e to obudziłoby podej-  
rzenie owego nieznanego go cia. Zamek był bar-  
dzo prosty. Do było odsun go na bok silnym  
no em, aby wej do chaty.

Holmes zaproponował tak e, aby czeka nife  
we wn trzu chaty, lecz w krzakach obok okna.  
Tym sposobem mo na, jak mówił, pilnowa nie-  
proszonego go cia i zobaczy , co b dzie robi  
zapaliwszy wiatło.

Zacz ło si długie i melancholiczne oczekiwa-  
nie, oczekiwanie my liwego, który le y koło je-  
ziorka le nego i czeka na zwierzyn , która ma  
wyj i napi si wody. My li nasze obracały  
si ci gle, koło tego nieznanego człowieka, który  
miał si nam ukaza , wyj na nas z ciemno ci.  
Có to była za zwierzyna? Czy tygrys, któ-  
rego mo na schwyta tylko w otwartej walce na



kły i pazury, czy te podstępny szakal, straszny tylko dla tchórzów ?

W absolutnem milczeniu kulili my si pod krzakami, czekaj c dalszego biegu wypadków. Z pocz tku dochodziły nas spieszne kroki zapó nionych wie niaków i głósy, brzmi ce od strony wsi. Powoli jednak zapadała absolutna cisza, głósy marły jeden po drugim, z wyj tkiem dalekiego zegara na wie y ko cielnej, który wskazywał nam co pół godziny swym d wi kiem, jak czas upływa i z wyj tkiem, szemrz cego strumienia deszczu, który spływał po li ciastym dachu, osłaniaj cym nas ze wszystkich stron.

Uderzyło pół do trzeciej. Było bardzo ciemno, jak zwykle bezpo rednio przed nadej ciem witu. Nagle usłyszeli my, e od strony parkanu zbli aj si wolne, ostro ne kroki.

Wybiła prawie godzina w pół dp trzeciej; nastąa najwi ksza ciemno , jak zwykle, zanim zacznie wita . Nagle zerwali my si wszyscy, od strony kraty elaznej dochodził cichy, ale wyra ny odgłos kroków.

Kto st pał po drodze. Potem nastąa długa chwila ciszy, zacz łem si ju obawia , e wszystko, co my słyszeli było tylko fałszywym alarmem i złudzeniem zmysłów, gdy odezwał si znowu odgłos cichych, ostro nych kroków, tym razem z drugiej strony chaty. Po chwili usłysz -, li my tak e zgrzyt metalu i ciche uderzenia.

Nieznany człówiek usiłował wyłama zamek przy drzwiach. Tym razem albo jęgo zrzczno

była wi ksza, albo posiadał lepsze narz dzie, bo nagle odezwał si szcz k zardzewiałych zawias i trzeszczenie drzewa. Potem rozbłysła zapałka, w nast pnej chwili wiatło wiecy napełniło wn - trze chaty. Przez firanki i kwiaty patrzyli my z zaciekawieniem na rozgrywaj c si wewn trz scen . Nocny go był młodym człowiekiem, wy - gl dał chorobliwie, był chudy, miał czarne w - siki, wskutek których mierzalnie blada twarz wydawała si jeszcze bielsz . O ile si zdawało, nie miał wi cej jak lat dwadzie cia. Nie widzia - łem nigdy adnej ludzkiej istoty, któraby budzi - ła tak wielk lito wskutek przestachu, jaki j opanował. Z by młodego człowieka szcz kały gło no, dr ał na Całem ciele. Był ubrany jak gen - tleman, na głowie miał sukienn czapeczk .

Obserwowali my go, jak przestraszonym wzro - kiem rozgl dał si dokoła siebie. Postawił ka - wałeczek, wieczki na stole i znikn ł nam z oczu w jednym z k tów pokoju. Po chwili powrócił na rodek pokoju, trzymaj c w r ku jedn z du - ych ksi g okr towych, które stały w szeregu na półce. Pochylił si nad stołem i szybko prze - wracał karty ksi ki, a wreszcie doszedł wido - cznie do miejsca, którego szukał. Potem z w cie - kło ci na twarzy, zamkn ł ksi k uderzeniem zaci ni tej dłoni, rzucił j z gniewem w k t po - koju i zagasił wiatło.

Ale ledwie miał czas si odwróci i zrobi par kroków ku drzwiom, gdy ju dło Hopkinsa spo - cz ła na jego ramieniu. Z ust wydarł mu si

okrzyk przerażenia, kiedy zrozumiał, że został schwytany. Zapalili my znowu wiec; nasz biedny wie dr ał ci gle i wił si rozpaczliwie pod r k detektywa. Potem padł raczej, ni usiadł na skrzyni okr towej i bezradnie spogl - dał na nas po kolei.

— No, mój pi kny młodzie cze — zawołał Stanley Hopkins — któ jeste i czego tutaj szukał ?

Młody człowiek zerwał si i usiłuj c zachowa przytomno umysłu, spojrział pytaj cemu prosto w oczy.

— Jeste cie panowie — rzekł — jak s dz , urz dnikami policyjnymi. I wyobra acie sobie zapewne, że miałem jaki udział w zamordowaniu kapitana Piotra Carey'a. Ale zapewniam panów, że jestem niewinny.

— Dobrze, dobrze — odparł Hopkins — to zobaczymy jeszcze. Tymczasem chcieliby my si przedewszystkiem dowiedzie , jakie jest pa - skie nazwisko .

— Nazywam si John Hopley Neligan.

Widziałem, jak Holmes i Hopkins przelotnie spojrzeli na siebie.

— Co pan tu robił, czego szukał ? — pytał Hopkins dalej.

— Czy mog mówi z panami, licz c na wasz dyskrecy ?

— Nie i jeszcze raz nie. Zapytujemy pana w charakterze urz dowym.



— A gdybym panom nie chciał odpowiedzieć na zapytanie ?

• — Je eli nie dasz pan odpowiedzi, pogorszysz tem tylko swoj spraw , a ledztwo s dowe i tak wyka e pobudki, jakie kierowały panem.

Młody człowiek drgn ł gwałtownie.

— Wi c dobrze. Opowiem panom wszystko. Dlaczego zreszt miałbym co tai ? Wprawdzie przykro mi pomy le , e ten stary skandal na nowo od yje, a ludzie zaczn o nim znowu mówić , ale trudno, nie mam innego wyj cia. Z pewnością słyszeli cie panowie kiedy o Dawsonie i Neliganie, nie?

Mogłem wyra nie wyczyta z twarzy Hopkinsa, e nazwiska te były mu zupełnie obce. Natomiast Holmes przejawiał ogromne zaj cie.

— Masz pan na my li bankierów z Westland rzekł — tych, którzy zbankrutowali, zostawiaj c milion długów, i rujnuj c doszcz tnie połow wszystkich rodzin w Kornwalii? Neligan znikn ł po bankructwie.

— Tak jest, mój panie. Neligan był moim ojcem.

Nareszcie wi c zyskali my jakie pozytywne wiadomo ci. A przecie wydawało si , e mi dzy tymi dwoma wypadkami, mi dzy ucieczk zbankrutowanego bankiera a kapitanem Piotrem Carey'em, przybitym do ciany własnym harpunem, istnieje przepa , której nie mo na wypełni szeregiem logicznych, nast puj cych po so-

bie wydarze . To te z tern wi ksz uwag słuchali my opowiadania młodego człowieka,

— Wi c, jak mówi , zbiegły bankier. Neligan był moim ojcem. Bankructwo to bolało naprawdę tylko jego, Dawson usun ł si od wszystkiego. Miałem wówczas dopiero dziesi lat, ale wystarczyło to ju , abym odczuł ca ł ha b i zarzut, jaki dotkn ł nasz rodzin . Mówiono powszechnie, e mój ojciec skradł wszystkie papiery warto ciowe, które le ały w banku w depozycie i uciekł z nimi, Otó nie, to nie jest prawd . Był., on wi cie przekonany, e zdoła wszystko doprowadzi do porz dku i zapłaci nale ne pieni dze ka demu wierzycielowi, je eli tylko b dzie miał czas na przeprowadzenie nowych interesów. Na swoim małym jachcie odjechał do Norwegii tu przedtem, zanim wydano rozkaz aresztowania go. Przypominam sobie dokładnie t ostatni noc, kiedy po egnął nas, niestety, na zawsze. Pozostawił nam spis papierów wartościowych, jakie zabrał ze sob i zło ył przysi g mojej matce, e powróci, aby odzyska utracon cze i zapłaci wszystkie nale yto ci, tak, aby nikt z tych, którzy mu zawierzyli, nie poniósł szkody.

Odetchn ł ci ko i spojrzał na nas spokojniejszym wzrokiem.

— Tak si sprawa naprawdę przedstawia. Ale, niestety, od owej chwili nie słyszeli my ju ni Ą o moim biednym ojcu. Jacht i on sam, zagin li bez ladu. S dzili my oboje, moja matka

i ja, e nieszcz liwy ojciec, okr t i zabrane pa-  
piery warto ciowe, le , na dnie morza. Ale mie-  
li my jednego wiernego przyjaciela, pewnego  
kupca, który wiedział o wszystkim. Otó odkrył  
on niedawno, e kilka papierów warto ciowych,  
które ojciec miał przy sobie, pojawiło si na  
targu londy skim. Łatwo wyobra sobie pa-  
nowie nasze zdumienie i przera enie. Całe mie-  
si ce straciłem na to, aby wykry jak drog  
dostały si te pieni dze na giełd , wreszcie po  
długich poszukiwaniach, trudno ciach i omył-  
kach zdołałem stwierdzi , e sprzedawał je ka-  
pitan Piotr Carey, wła ciciel tej chaty.

Oczywi cie, starałem si dowiedzie jakich  
szczegółów o tym człowieku. Nie było to zbyt  
trudne do przeprowadzenia. Wykryłem e Piotr  
Carey był komendantem statku, poluj cego na  
wieloryby i e wła nie powracał z wód polarnych  
wówczas, kiedy mój ojciec popłyn ł do Norwegii.  
Jesie owego roku była bardzo burzliw , bez  
przerwy trwały długie niepogody i orkany,  
wywoływane południowym wichrem. Nie było  
nieprawdopodobnem, e jacht mojego ojca zo-  
stał zap dzony na północ i e tam spotkał okr t  
Piotra Carey'a. Bez wzgl du na to, jak si  
sprawa przedstawiała, przede wszystkim zaj-  
mowało mnie pytanie, co si stało z moim ojcem.  
Chodziło mi o zrehabilitowanie jego pami ci.  
Gdybym z pomoc wiadectwa Piotra Carey'a,  
zdołał dowie , w jaki sposób te papiery warto-  
ciowe dostały si na giełd , byłoby to tak e do-



wodem'; e mój ojciec ich nie sprzedał i e nie miał adnej osobistej korzy ci z tego, e zabrał je z sob .

— Przybyłem do Sussex, zamierzaj c zobaczy si z nim i rozmówi . Ale wła nie wl edy nast piła jego nagła mier . W sprawozdaniu o ogl dzi- nach miejsca zbrodni wyczytałem opis jego ka- biny, była tam tak e wzmianka, e kapitan prze- chowywał w niej stare ksi gi urz dowe swojego okr tu. Przyszło mi na my l, e gdybym zoba- czył, co si działo w sierpniu 1883 roku na pokła- dzie "Narwala," mo e w ten sposób mógłbym rozja ni zagadk mierci mojego ojca. Próbo- wałem wczoraj w nocy wedrze si do chaty i zobaczy te ksi gi, ale nie starczyło mi sił na otwarcie drzwi. Dzisiaj ponowiłem prób , tym razem ze szcz liwym wynikiem. Niestety, z nie- zmiern rozpacz przekonałem si , e karty, dotycz ce tego miesi ca, s wydarte z ksi gi; w tej samej chwili wpadłem w r ce panów, jako wi zie .

— Czy to ju wszystko? — zapytał Hopkins stanowczym głosem.

— Tak jest, opowiedziałem panom wszy- stko.

Odwrócił głow , kiedy to mówił, aby unikn naszego wzroku.

— Wi c istotnie nie mo esz pan powiedzie nic wi cej ?

Zawahał si .

— Nic, nic.

— Nie byłe pan tutaj przed wczorajsz noc ?

— Nie.

— Wi c jak e potrafisz nam pan to wytłómaczy ? — zawołał Hopkins tryumfuj cym głosem, podnosz c w gór znaleziony przez siebie notatnik, zawieraj cy na pierwszej kartce inicjały naszego wi nia a na okładce krwawe lady.

Nieszcz liwy człowiek pochylił z rozpacz głow , zakrył twarz r kami i dr ał na calem cie le. Widocznie złamał go ten cios.

— Sk d masz pan ten notatnik ? — zawołał. — Nie wiedziałem nic o tem, my lałem, e zgubiłem go w hotelu.

— To ju najzupełniej wystarcza— rzekł Hopkins surowo. — To, co mo esz pan jeszcze powiedzie na swoj obron , powiesz ju przed s dem. Teraz udasz si pan ze mn do urz du policyjnego. Wi c mr. Holmes serdecznie dzi - kuj panu i pa skiemu przyjacielowi, e tak uprzejmie i łaskawie na moje wezwanie pospieszyli cie mi z pomoc . A chocia wobec zwrotu, jaki sprawa przybrała, obecno panów była tu zbyt zbyteczn , bo i własnymi siłami byłbym spraw doprowadził do obecnego pomy lnego wyni - ku, mimo to jestem panom niezmiernie zobowi zany. W hotelu w Brambletye s przygotowane dla panów pokoje, je eli pozwol mi panowie towarzyszy sobie, mo emy si tam razem V uda za chwil .

Có s dzisiaj o tej sprawie Watsonie — pytał Holmes nazajutrz, kiedy powracali my do naszego mieszkania na Baker-street.

— O ile mog pozna , nie jeste szczególnie zadowolony z wynikóv ledztwa.

— Ale przeciwnie, kochany przyjacielu, najzupełniej. Ale mimo to, nie odwa yłbym si twierdzi , e metoda, jakiej u ywa Hopkins, jest dobra i polecenia godna. Wogóle mr. Stanley Hopkins, jak dot d, sprawił mi rozczarowanie. Spodziewałem si po nim czego lepszego. Trzeba zawsze mie przed oczyma wszystkie mo liwe alternatywy i wyruszy do boju w pełnym rynsztunku przeciwko wszelkim mo liwo ciom. To musi by pierwsz i główn zasad ka dego ledztwa kryminalnego.

— A jak alternatyw mo naby tutaj jeszcze przypadku ?

— Mo naby znale inne jeszcze wytłómaczenie — rzeki Holmes. — I to jest wła nie linia (dochodze , jakie prowadz . By bardzo mo e, e nie doprowadzi do adnego rezultatu. Wi c tymczasem nie chc o niej mówi . B d co b d , jednak pójd t drog a do ko ca.

W domu na Baker-street czekało na Holmesa kilka listóv. Wzi ł jeden z nich, otworzył i za ledwie rzucił okiem, za miał si tryumfuj co.

— Wybornie, Watsonie, wybornie. Otó widzisz, alternatywa zaczyna si rozwija i uplastycznia . Czy masz blankiety telegraficzne?...



Dobrze, więc b d łaskaw napisać następujące depeche:

“Summer, agent okrętowy Ratcliff Highway. Przysła trzech ludzi punktualnie 10 przed południem. Bazyli.”

— Znaj mi tam pod tem imieniem — dodał objaśniając co. — A teraz jeszcze jedna depecha:

“Inspektor policyi Stanley Hopkins, 49 Lordstreet Brizton. Prosz przyby rano 9:30 niadanie. Ważne. Jeżeli niemożliwe, odpowiedź telegraficznie. Sherlock Holmes.”

Punktualnie o naznaczonej godzinie przybył inspektor Hopkins i zasiedli my razem do wyborowego niadania-, które przygotowała poczciwa Mrs. Hudson, nasza tyloletnia gospodyni. "

Młody urzędnik policyjny był - niezmiernie uradowany swym tryumfem i cięgle powracał do tego samego tematu.

— Wić dzisiaj pan rzeczywiście, rozwiązanie, do jakiego doszedł, jest trafne? e nie można już nic dodać w tej sprawie? — spytał Holmes.

— Nigdy w życiu nie spotkałem wypadku mniej skomplikowanego i więcej jasnego.

— A jednak nie odważyłbym się twierdzić, e wszystko tak jasno wynika jedno z drugiego.

— Jestem wprost zdumiony tem, co pan mówisz, Mr. Holmes. Czy można tu jeszcze w coś wtpić?

— Czy wytlómaczenie sprawy, jakie pan sobie

wytworzyły, tłumaczy tak e ka dy poszczegól-  
ny punkt?

— Niew tpliwie. Dowiedziałem si, e młody  
Neligan w dniu spełnienia zbrodni zamieszkał  
w hotelu w Bambletye. Przybył tam pod pozom-  
rem zwiedzania okolicy. Pokój jego znajdował  
si na parterze, mógł wi c wychodzi w dzie  
i w nocy, kiedy mu si podobało. Tej e samej no-  
cy udał si do Woodmans Lee, zobaczył w kabi-  
nie Piotra Careya i wszcz ł z nim kłótni, pod-  
czas której zabił go harpunem. Potem, przera-  
ony tern, co uczynił, uciekł z chaty, a przy tej  
sposobno ci zgubił notatnik, który przyniósł  
z sob, aby wypyta si Piotra Careya o te  
rozmaite papiery warto ciowe. Dó tego przyznaj  
si nawet. Zapewne zauwa ył pan, e niektó-  
re liczby papierów s oznaczone punktami, inne,  
a tych jest przewa na liczba, nie maj adnego  
znaku. Otó tych papierów oznaczonych po-  
szukiwano na giełdzie londy skiej. Co do in-  
nych, Neligan przypuszczał zapewne, e s one  
w r ku Piotra Careya. I znowu sam młody czło-  
wiek przyznaj, e usilnie si starał wykry je  
i da w ten sposób zado uczynienie wierzycie-  
lom swego ojca. Po dokonaniem morderstwa i po  
ucieczce przez dłu szy czas nie miał si zbli y  
do chaty wreszcie ch otrzymania wiadomo ci\*  
których potrzebował, przemogła boja. To  
przecie wszystko nader.jasne i proste.

Holmes u miechn ł si nieznacznie i z niedo-  
wierzaniem potrz sn ł głow.

— O ile mi si zdaje', Mr. Hopkins, sprawa ta ma jedn słab stron , to mianowicie, e jest absolutnie niemo liw . Czy próbowała pan kiedy przebi całe ciało harpunem ? Nie ? A, to wiek ka. szkoda. No, no, mój drogi partie, powiniene koniecznie tym szczegółom po wi ca nieco uwagi. Mój przyjaciel Watson mógłby panu opowiedzie , e niedawno całe rano oddawałem si temu wiczeniu. Nie jest to wcale łatwa sprawa, jakby si mogło wydawa i wymaga bardzo silnego i wprawnego ramienia. Ale to jeszcze nie wszystko. Cios ten był zadany z tak sił , e ostrze broni przebiło ciało na wskro' i utkwilo gł boko w drewnianej cianie. Czy mo esz pan sobie wyobrazi , e ten bezkrwisty, chudy młodzieniec miałby do siły do podobnego uderzenia ? I czy mo na przypu ci , e obaj, on i czarny Piotr, zapijali si pó no w nocy rumem z wodd ? A dalej: czy to był jego profil, który dwie nocy przedtem widziano w szybie? Nie, nie, kochany panie Hopkins, musimy poszuka innego sprawcy, bardziej m skiego i gro nego.

Podczas mowy Sherlocka Holmesa, twarz młodego detektywa wydłu ała si coraz bardziej. Walily si beznadziejnie wszystkie jego nadzieje i oczekiwania. Mimo to nie chciał bez walki ust pi ze stanowiska.

— Nie mo esz pan jednak zaprzeczy , Mr. Holmes, e Neligan był owej nocy w kabynie Piotra Careya. Zgubiony notatnik jest a nazbyt wystarczaj cym dowodem. I zdaje mi si , e



mani do dowodów, aby s d przyznał słuszno moim twierdzeniom. Nawet w takim-razie, gdyby pan zdołał wynale jeszcze jaki kruczek. A zreszt Mr. Holmes, ja mam w r ku mojego zbrodniarza. A ten pa ski, ten bardziej m ski i gro ny sprawca, gdzie si znajduje?

— Jak mi si zdaje, idzie w tej chwili po schodach — odparł Holmes wesoło. — S dz , e dobrze uczynisz, Watsonie, bior c rewolwer do r ki.

Holmes powstał z krzesła i poło ył na bocznym stoliku jaki papier.

— Tak, teraz jeste my gotowi — rzekł.

Usłyszeli my kilka zachrypłych głosów w przedpokoju, a równocze nie Mrs. Hudson otworzyła drzwi, zawiadamiaj c nas, e przyby ło trzech ludzi, którzy pytaj si o kapitana Bazzy! a.

Niech pani wpuszcza kolejno jednego po drugim — rzekł Holmes.

Pierwszy, który wszedł, był to mały, kr py człowiek, z czerwonymi policzkami i z siwiej cymi lekko włosami na skroniach. Holmes si gn ł do kieszeni i wyj ł jaki list.

— Jak si nazywasz? — zapytał.

— James Lancaster.

— Przykro mi bardzo mój dobry obywatelu, ale załoga statku ju skompletowana. Oto masz tu pół suwerena za fatyg . Ale tymczasem, prosz bardzo, wejd do tamtego pokoju i zaczekaj tam kilka minut.

Drugi marynarz, była to wysoka i chuda postać z cienkim, płowym włosiem, z zapadłymi białymi ółtymi policzkami. Nazywał się Hugh Pattins. I on otrzymał odmowną odpowiedź, pół suwerena nagrody za to, że przyszedł, a wreszcie zlecenie, aby się zatrzymał obok w pokoju.

Trzeci człowiek, starający się o zajęcie na statku sprawiał dziwne wrażenie. Dzika twarz buldoga była okoloną gęstym zarostem, dawno nie strzyconym, miał czarne w sy i brodę, dwoje zuchwałych oczu arzyło się pod cieniem gęstych, krzaczastych, zwisających brwi. Wchodząc do pokoju, pozdrowił nas i stanął w pozycji marynarza, obracając w rękach okrągłą czapkę.

— Nazywasz się? — pytał Holmes.

— Patrick Cairus.

— Władasz harpunem?

— Tak jest, panie kapitanie, polowałem dwadzieścia sześć razy.

— Jesteś gotów do podróży na morze północne?

— Tak, panie kapitanie.

— Jakiej dasz płacy?

•— O m funtów na miesiąc.

— Kiedy<sup>1</sup> mógłby wyruszyć w drogę? Czy zaraz?

— Skoro tylko poczyni najpotrzebniejsze zakupy.

•— Masz jakie wiadectwo?

— Oto, panie kapitanie.

Wyci gn łą z kieszeni paczk zniszczonych i zapuszczonych papierów.

Holmes przejrzał je szybko, a potem zwrócił stoj cemu naprzeciw niego.

— Jeste człowiekiem, jakiego potrzebuj —  
*rzeki*—Tam na stoliku le y kontrakt, musisz go tylko podpisa i wszystko b dzie w porz dku.

Marynarz przeszedł niezgrabnie przez pokój i uj łą pióro do r ki.

— Czy tutaj mam podpisa ? — zapytał, pochylaj c si nad stołem.

Holmes nagłym ruchem pochylił si nad nim i przesun łą obie r ce nad jego ramionami.

— Tu wła nie! — zawołał.

Usłyszałem brz k, jak gdyby ła cucha stalowego, a zarazem potem ryk, niby rozszalałego byka. W chwil pó niej Holmes i marynarz tarzali si po ziemi, pasuj c si z sob . Był to człowiek tak strasznie silny, e nawet w kajdankach, które mu Holmes zarzucił na r ce z ogromn zrczno ci , byłby niew tpliwie niebawem zdusił mojego przyjaciela, gdyby my obaj z Hopkinsem nie skoczyli mu na pomoc. Dopiero kiedym dotkn łą jego czoła zimn luf rewolweru, zrozumiał, e wszelki jego opór jest daremny. Skropowali my mu sznurem nogi, poczem powstaliśmy zadyszani i zm czeni straszn walk .

— Musz doprawdy prosi pana, mr. Hopkins o przebaczenie za ten epizod — mówił Sherlock Uclm s. — Obawiam si , e jajecznicza zupełnie



wystygła. B d co b d jednak nie w tpi , e re-  
szta niadania b dzie panu jeszcze lepiej, ni  
pierwej smakowa , zwłaszcza wobec tego, e  
szcz liwie doprowadzili my nasz spraw do  
tak pomy lnego zako czenia,

Stanley Hopkins stał jak pos g, oniemiały ze  
zdumienia.

— Nie mam poj cia, co my le o tem wszy-  
stkiem, mr. Holmes — wyj kał wreszcie, czer-  
wieniem c.— Zdaje mi si teraz, e od samego  
pocz tku sprawy post powałem jak idyota.  
Teraz rozumiem dobrze, em nie powinien był  
ani na chwil zapomina , i byłem uczniem w  
tym wypadku, a pan nauczycielem i mistrzem.  
Nawet teraz, kiedy widz , co pan zrobił, nie  
wiem wcale, ani dlaczego to zrobił , ani co to  
wszystko wogóle znaczy?

Holmes u miechn ł si i wesoło odpowie-  
dział:

— No, no, nie ma si czem martwi , wszyscy  
uczymy si przez do wiadczenie.

— A pa sk nauk było teraz, e nigdy, nawet  
gdyby sprawa wydawała si niezmiernie prosta,  
nie nale y traci z oczu alternatywy. Był pan  
tak zabsorbowany my l o młodym Neliganie,  
e w pa skim umy le nie było ju miejsca na co  
innego, oczywi cie na Patricka Cairusa, rzeczy-  
wistego morderc Piotra Car ya.

Nagle spokojn nasz rozmow przerwał za-  
chrypły głos marynarza.

— Nie mam do pana urazy — rzekł — e mnie tak podszedł i tak gwałtownie schwytał, ale chciałbym, aby pan nazywał spraw, tak, jak należy. Mówisz pan, e zamordowałem Piotra Careya, a ja twierdz, e Piotra Careya zabiłem. I to jest wielka różnica.

By może, e pan nie wierzy temu, co mówi, by może, e s dzi pan, i chc pana okłama. Ale to sprawy nie zmienia.

— Ale bynajmniej mój człowieku odparł Holmes. — Opowiedz nam wszystko, jak było, a ch tnie ci uwierzemy.

— To si da krótko opowiedzie, a przysięgam na Boga, e każę słowo b dzie prawd. O, znałem dobrze Czarnego Piotra; kiedy wyciągnął nóż z kieszeni, przebiłem go harpunem z całej siły. Tu si nie można było waha, wiedziałem z całą pewnością, e jeden z nas zgin musi, ja, albo on. Wi c on umarł. Tego morderstwem nazwać nie można. A zreszt dzisiaj wszystko mi jedno, równie dobrze zgin na szubienicy, jak byłbym zgin ł, przebity nożem Czarnego Piotra.

— Pocz przyszedł do niego?— pytał Holmes.

— Opowiem panom wszystko od samego początku. Tylko, jeżeli łaska, posadcie mnie na krześle, bo mi tak strasznie niewygodnie mówi. Było to w roku 1883, kiedy si to stało, w sierpniu. Piotr Carey był Właścicielem “ Narva-

la,” ja zakontraktowałem si do drugiego harpuna. Prawie wracali my ju z morza Lodowatego, walcz c z przeciwnymi wiatrami i olbrzymi fal morsk , kiedy spotkali my po drodze mały okr cik, p dzony wiatrem ku północy. Na statku był jeden tylko człowiek, nasz rodak. Załoga s dziła, e okr t zatonie i dlatego wszyscy wsiedli do łodzi ratunkowej, aby si uda ku wybrze om norweskim. Jak s dz jednak, wszyscy zaton li. Tylko sam wła ciciel pozostał na statku. Widz c jego rozpaczliwe poło enie, przewie li my go na nasz pokład; kapitan Piotr Carey, zabrał go do swojej kajuty i obaj prowadzili tam długie rozmowy. Jednym pakunkiem, jaki zabrał z sob , przechodz c na nasz okr t, była cynkowa puszk . O ile mi wiadomo, nikt nie dowiedział ni nigdy jego nazwiska, zreszt ju nast pnej nocy nieznajomy znikn ł w tajemniczy sposób. Opowiadano, e albo zrozpaczony skoczył do morza, albo te zmiotła go wysoka fala, która szalała przez cał noc. Tylko jeden człowiek wiedział, co si naprawd stało z nieznajomym, a tym człowiekiem ja byłem. Bo widziałem na własne oczy, jak Piotr Carey pochwycił go w nocy w pół, i przerzucił przez burt . Stało si to pó no w nocy, dwa dni pierwej, zanim ujrzeli my wiatło i brzeg Szwecji.

Zachowałem w tajemnicy ten wypadek, czekaj c cierpliwie, co dalej b dzie — opowiadał Cairus. — W Szwecji kapitan z łatwo ci zatuszował cał spraw , nikt zreszt nie wypytywał



si dokładnie. Przyj to do wiadomo ci, e jaki obcy poniósł mier wskutek nieszcz liwego wypadku, nikomu nie zale ało na tern, aby zbada t spraw . Niedługo potem, Piotr Carey sprzedał okr t i przestał polowa na wieloryby, wiele lat min ło, zanim zdołałem odszuka jego mieszkanie. Ale byłem niemal pewny, e popełnił zbrodni , dlatego, aby przywłaszczy sobie zawarto puszek cynkowej; przypuszczałem te , e b dzie mógł mi zapłaci , abym milczał dalej.

Za po rednictwem pewnego majtka, który spotkał Czarnego Piotra w Londynie, dowiedziałem si , gdzie mieszka i udałem si do niego, by za da nagrody za milczenie. Pierwszej noc y mówił ze mn bardzo rozs dnie i o wiadczył, e gotów mi jest da pewn sum , któraby wystarczyła mi na ycie i pozwoliła porzuci mudn prac na morzu, W dwa dni pó niej mieli my spraw ostatecznie załatwi . Kiedy przyszedłem, kapitan był prawie zupełnie pijany, we w ciekłym humorze. Usiedli my przy stole, zaczęli my pi i rozmawia o dawnych, razem sp dzonych czasach; ale im wi cej pił, tem mniej podobał mi si jego wyraz twarzy.

Zauwa yłem harpun, ^wiesz cy na cianie, przyszło mi na my l, e mógłbym go u y , gdyby si na mnie rzucił.

Nie długo czekałem na to. Nagle zerwał si pluj c i przeklinaj c, w oczach błyszczała mu dza mordy, w r kach trzymał wielki nó . Ale nie

miął czasu wydoby go z pochwy, niby błyskawic ra ony, padł na cian z harpunem w boku.

Bo e, jak strasznie krzykn ł — jego straszna wykrzywiona bólem twarz staje mi co noc przed oczyma i nie pozwala zasnąć . Potem zmarł. Stałem na rodku kabiny, krew coraz silniej tryskała z rany, nasłuchiwałem przez chwil . Ale dokoła panowała zupełna cisza. Przestrach usłpił, nabrałem znowu odwagi. Obejrzałem się dookoła, tam na półce nad ksi kami stała puszk cynkowa. Miałem do niej takie samo prawo jak Piotr Carey, zabrałem ją więc i wyszedłem z chaty. Tylko, jak nierozs dny głupiec, pozostawiłem na stole kapciuch z tytoniem.

Teraz opowiem panom najzabawniejsz z całej historyi. Ledwie wyszedłem z kabiny, usłyszałem nagle jakiś szmer. Cofnąłem się z ciekawości i ukryłem się w pobliskich zaroślach. Jakiś człowiek skradał się ku chatce, wszedł do rodka, krzykn ł, jak gdyby zobaczył upiora, a potem zaczął uciekać nieprzytomny, gdzie go oczy niosły, a wreszcie zgin ł w oddali. Kto to był, albo te czego chciał, nie umiem odgadnąć . Gdy już zniknął w ciemnościach nocy, ruszyłem w drogę ; przeszedłem dziesięć mil piechotą , w Tunbridge Wells wsiadłem do pociągu i przybyłem do Londynu, nie wiele m dłużej niż pierwszej.

Kiedy wreszcie znalazłem sposobność , aby otworzyć puszkę , przekonałem się , że nie było

w niej pieni dzy, lecz papiery warto ciowe. A papierów nie miałem sprzedawa. Tak wi c straciłem noc nad Czarnym Piotrem i zostałem w Londynie bez szylinga w kieszeni. Trzeba si było obejrze za jakim zaj ciem. Wtedy to znalazłem to ogłoszenie, zach ciła mnie wysoka płaca, poszedłem do agenta okr towego, a on przysłał mnie tutaj.. To wszystko co wiem. I powtarzam: za to, e zabiłem Czarnego Piotra, s d powinien mi by tylko wdzi czny, poniewa oszcz dziłem sprawiedliwo ci kosztów konopnego sznura na szubienicy.

Holmes powstał i zapalił fajk .

— Bardzo jasne i dokładne sprawozdanie. A teraz s dz , Mr. Hopkins, e nie b dziesz pan tracił czasu i odprowadzisz swojego wi nia w bezpieczne miejsce.— Ten pokój nie nadaje si wcale na cel wi zienn , a przytem Mr. Patrick Cairus zajmuje sw osob zbyt wielki kawał naszego dywanu.

— Mr. Holmes — rzekł Hopkins z rozrzewnieniem—nie wiem, w jaki sposób wyrazi panu moj wdzi czno . Chocia prawd mówi c, i teraz jeszcze niezbyt dobrze pojmuje , jak drog doszedł pan do tego wyniku.

— Całkiem prosto t , e szcz liwie od samego pocz tku sprawy uchwyciłem wła ciwy punkt zaczepienia. I nie zaprzeczam wcale, c gdybym był odrazu wiedział o tym znalezionym notatniku, byłby on mo e i mnie wprowadził na trop fałszywy, jak si to z panem stało. Alg



wszystko o czem słyshałem i wiedziałem, kazało mi i w tym wła nie, a nie innym kierunku. Ta zdumiewaj ca siła fizyczna, ta zr czno w rzucaniu harpunem, rozwodniony rum, ten kapciuch ze skóry psa morskiego, napęlniony grubym lichym tytoniem, wszystko dowodziło,

zbrodni popełnił marynarz i to poławiacz wielorybów. Byłem te przekonany stanowczo, e inicyały P. C. na kapciuchu były tylko wypadkowym zbiegiem okoliczno ci, a nie inicyałami Piotra Careya, co wynikało ju z tego, e jak zeznała rodzina, palił nie wiele, a przytem nie znaleziono fajki w jego kabinie. Przypominasz pan sobie zapewne, e pytałem si , czy w kabinie znajdowała si whiskey czy brandy. A czy s dzisz pan, e mo naby znale jakiego szczura l dowego, który maj c do dyspozycyi rozmaite wódki, piłby rum? Tak jest, Mr. Hopkins, byłem pewny, e sprawca jest marynarzem.

— No, a jak e zdołałe go pan odnale ?

— Mój. drogi panie, to był problem niezmiernie łatwy do rozwi zania. Przypu ciwszy, e człowiek ten był marynarzem, trzeba było przypu ci dalej, e znał kapitana, czyli innemi słowy nale ał do załogi "Narvala." Zasi gn łem bowiem wiadomo ci, e kapitan Piotr Carey nie posiadał nigdy innego okr tu. Trzy, dni po wi ciłem na to, aby zatelegrafowa do Dundee sprawdzi nazwiska całej załogi "Narvala" w roku 1883.

Kiedy w ród nich znalazłem nazwisko Pa-

tricka Cairusa i kiedy si dowiedziałem, e był zakontraktowany do rzucania harpunem, poszukiwanie szybko zaczęło si zbliżyć ku końcowi.

Przypuszczałem, e człowiek ten prawdopodobnie znajduje si w Londynie i e chętnie opuściłby lód stały na pewien przeciąg czasu. Dlatego spędziłem kilka dni w Eastend, wymyśliłem wyprawę polarną, ogłosiłem bardzo zachęcające warunki dla harpunierów, którzy chętnieby wstąpił do służby kapitana Bazyla... i oto widzisz pan wynik mojej pracy.

— Cudowna historia — wołał Hopkins z uniesieniem — cudowna historia.

— Trzeba teraz jak najszybciej pomyśleć o wypuszczeniu z więzienia młodego Neligana—• mówił Holmes. — Mam tę nadzieję, Mr. Hopkins, e przeprosisz go pan należyście za przykroci, jakich doznał z powodu ciebie. Należy mu oddać puszkę cynkową. Oczywiście wszystkie papiery warto cię sprzedać przez Piotra Careya, s na zawsze stracone. Dorożka czeka na dole, Mr. Hopkins, może pan odwieźć mi w nią. A gdyby mnie pan potrzebował w ciągu procesu, to adres mój i Watsona: Północna Norwegia.

**Koniec.**

